

DWIE K... NA K- 2

Kubie

Można długo krążyć wokół pytań, które przyprawiają o zawrót głowy, a nasuwające się odpowiedzi wytrącają z orbit.

Jajko czy kura? Co było pierwsze? Kamienie czy wiatr?

Zanim rzeczy przybrały taki obrót, że za sprawą boskiej opatrności wyrobiłem w sobie krytyczny rozbrat z Duchem Świętym, byłem na wskroś opętany wybuchową energią. Chciałem przewrócić świat do góry nogami, by nie stał na głowie. Roznosiło mnie na okrągło, na wszystkie strony. Energia, którą uwalnia człowiek, wyzwala człowieka. Już sama świadomość tego faktu pozwalała przeć jak burza. Nic nie mogło wybić mnie z kursu. Żadne kłody pod nogi, kule u nogi, żadne powinięcia nóg. Męczyło mnie tylko to, że podejmując inicjatywę, nie potrafiłem przekształcić ognistej wiary w cuda w przysłowiowy cud, bo tylko cud mógł mnie jeszcze uratować. A przecież szóstym zmysłem wyciskałem z siebie siódme poty, goniąc własny ogon coraz węższymi kółkami, żeby dopaść ósmy cud i oderwać rzepy.

Poprzewracało mi się w głowie od tego poukładania równo „pod sufitem”, jak Bóg przykazał. Gdzie się nie ruszyć – pozłotko i kit, a na billboardach język za zębami, wyszczerzonymi od ucha do ucha, aż do wytrzeszczu ocz, jeśli wierzyć oczom. Tak został zbudowany świat, od Adama i Ewy.

Pan Bóg zbyt pochopnie stworzył z ognia wszystko, jego sprawa. Niestety, tak się przy tym wysilił, naprężył i zasapał, koncentrując się na sobie, że przegapił kreację człowieka oraz nieba.

Kiedy strudzony usiłował odsapnąć, z popiołu wyłonił się *homo sapiens*, jako przypadkowy produkt reakcji niekontrolowanej, i – chociaż to pikantna impertynencja – z niczego zrobił problem.

RAJ NA ZIEMI.

Niewykluczone, że Bóg, kto Go tam zresztą wie, działał przewrotnie. Z rozmysłem i premedytacją. Powołał padół ziemski do istnienia z powodów nie całkiem sprzyjających przetrwaniu świata i gdzieś tam za kulisami istnieje raj nie z tej ziemi. Być może wszystko odbyło się według takiego scenariusza, w ten właśnie sposób, choć trudno zgadnąć. Znam takich, co dali się ukrzyżować, preferując podobną koncepcję.

Mogło też zdarzyć się na opak. Świat powstał samoistnie, sam z siebie, przez nikogo niestworzony, bez ładu i składu, udziału i ingerencji sił nadprzyrodzonych. Skutkiem ubocznym powyższej tezy oraz najdonioślejszą, w najwyższym znaczeniu tego słowa, nieuchronną konsekwencją stało się powołanie do życia Boga, albowiem wiara czyni cuda, a gra warta świeczki.

Od tego czasu, czy tego chce, czy nie, niepodzielnie zajmuje w nim najpocześniejsze miejsce. Pełniąc dożywotnio najwznioślejszy urząd, zmienia bieg historii wedle Swojego uznania.

Towarzysząca pierwotnemu światu nieobecność Boga musiała ciążyć i doskwierać niepowetowaną pustką, w związku z bezkresem zapotrzebowania na zjawiska paranormalne. Wytworzyło się błędne koło. Hula-hop. „Hulaj dusza, piekła nie ma”. Pomieszczenie *materii prima* z globalnym galimatiasem wokół. Powstał chaos i nadmierna pustka, która musiała zaowocować. Fizyka pustki wyklucza trwałość takiego stanu rzeczy. W świetle fundamentalnych praw przyrody natura nie znosi próżni. Im większa pustka, tym większy odzew od zewnątrz. Narastającego parcia, wzmagającego się ciśnienia.

Świat bez Pępka Świata nie całkiem byłby światem; nadejście Pana na wysokościach wisiało w powietrzu.

Pierwotny NIEBYT w swym niematerialnym kształcie i wymiarze, jeszcze przed powstaniem świata i Bożym Narodzeniem, trwał pozostawiony własnemu losowi. Poddany swym naturalnym ciągotkom, cieszył się tak wielkim wzięciem wszelkiego autoramentu równoległych pustostanów, że wypełniał się samym sobą w postępie geometrycznym, znajdując drogę do pełni rozkwitu. Tak dokonywała się statyka. Wszelki rozwój hamował się w zarodku, aż miarka się przebrała. Do głosu doszła walka przeciwieństw.

Oko za oko, ząb za ząb.

Wizja wiecznej, nieskończonej i niedokończonej NICOŚCI była dla niej samej zanadto deprymująca. W chwilach depresji maniakalnej ulegała napadom solipsystycznych załamania. Ogołocona ze wszystkiego, zgodnie ze swoją istotą, porwana wirem tworzenia, zgodnie ze swoją fizyką, pozwoliła sobie na kaprys wagi superciężkiej i wyzwoliła się sama z siebie. Wykorzystując energię stanu zerowego, ulegając swoistej dekompresji próżni, wycisnęła ze swojego jestestwa świat, a ten nie mógł obejść się już bez Boga.

Wszechświat w powijakach, który wypełnił prapustkę, nie był wolny od neopustki, ciężającej niespełnieniem. Całkowita czczość niepełnego świata, otoczona polem własnej grawitacji, wprost kipiała godnymi pożałowania efektami tandetnej niedoróbki. I wtedy nastąpiła odśrodkowa dekompresja takiego wszechświata, bo nie wytrzymał ciśnienia i wywnętrzył się z kłopotu. Słowo stało się ciałem, nadając wszelkiej prokreacji godność świętego sakramentu. Tak dokonywał się przełom, jakże znamienity w skutki. Pan Bóg „spadł z nieba” a kamień z serca. I – Bogu dzięki – *Gott mit uns*.

Wszechświat, od zarania pełen diabolicznych właściwości, roztacza żaloszny widok powszechnego przekleństwa. Nic dziwnego, że przeniknęła go promienna wdzięczność do Boga, iż raczył się pojawić. NICOŚĆ rodzaju nijakiego spełniła w Nim swoje oczekiwania. Istnieje i realizuje się w superprodukcji, całkiem całkiem do niczego sobie.

Przyjęła się, jak nic, i zadomowiła w umysłach wolnych od obciążeń wolną myślą. W miarę upływu czasu traciła dotychczasową indywidualność oraz podmiotowość. Oddając się w służbę Bogu, w bezwzględnym posłuszeństwie, przeniosła się w inny świat, siłą ciężenia pustki.

Niestety, Pan Bóg w pół drogi wypadł z roli, mimo najszczęśliwszych chęci. W jego ośrodku decyzyjnym nastąpiło spięcie. Bezpieczniki wysiadły, magnes się rozładował i odpychał. Bieguny dostały biegunki. Odpadł w przedbiegach. Uciekł od samego siebie, dając wyraz postawie swojej wobec świata, i na tym poprzestał. Potrzeba odejścia – wszystko jedno, dokąd – wzrastała w miarę zwiększania się bezradności. Blask triumfu w oczach szybciej zgasł, niż się pojawił, w świetle tych uśmiechów, które roztałcał na co dzień – gdy bilans zysków i strat okazał się niekorzystny. Mając nadprzyrodzoną siłę ściągania wszelkich odmian plag, z góry stał na straconej pozycji.

„Prędzej mnie piekło pochłonie, niż pozwolę się porwać radosnej twórczości człowieka i dam się wciągnąć do trupy” – pomyślał w duchu i z urzędu udzielił sobie rozgrzeszenia, *pro bono sua*. Oczywiście bez pokuty i wyrzutów sumienia. Piekło się upiekło. Obdarzony mocą czynienia cudów wtopił się w tło. Ustąpił miejsca nicości. Ogarnięty zniechęceniem wrócił do swej naturalnej postaci, uświęconej odwieczną tradycją. Takie wyjście zadowoliło go w pełni. Skrzyżował ręce na piersiach, pogrążył się w modlitwie – świetlistej ciemności – i tyle Go widzieli. Spalając się od środka, dołączył do przestronnej pustki: jego jedyne *poste restante*. Być sobą do tego stopnia w obliczu fundamentalnej nicości, to już c o ś. Godne uosobienia świętej boskości.

Ale bez wpływu i znaczenia dla oznaczenia skali oraz stopnia odpowiedzialności za grzech pierworodny. Uniewinnienie stało się koniecznością, zgodnie z kardynalną zasadą prawa karnego, obowiązującą na całym bożym świecie. Wszelkie domniemania i presumpcje tłumaczy się przecież na korzyść oskarżonego.

Jednakże nie sposób uwolnić Go od winy za określoną tendencję ewolucji świata i istniejący stan rzeczy. Cała potęga ziemskiej makabreski wzięła się stąd, iż jest udziałem Stwórcy. Musiał przecież maczać palce, które miał pod ręką, w tym namacalnym rozwoju wypadków, zgodnie z podmiotowością Swojego bytu i istotą stosunku (płciowego), jaki Go łączył z wszechrzeczą. Faceci myślą jajami tylko o jednym. Oto dzieło Boga!

Co ciekawe, cały ten kulisty wybryk natury, bez precedensu w skali makrokosmosu, woła o pomstę do nieba, a mimo to uchodzi Bogu płazem, na okrągło, jakby nie był Jego dziełem i nie miał z Nim nic wspólnego. Takie refleksje, zrodzone jedna z drugiej, nasuwają się nieodparcie.

Obraz wyidealizowanej sprawiedliwości, obleczonej dostojeństwem, pękł jak mydlana bańka przy zetknięciu z kantami. Grawitacja luk w prawie – które rwie się od pustosłowania, jak przetarta skarpeta, i nie działa w pełni – nie funkcjonuje w próżni. Wewnętrzne pęknięcia scalają pokrzywy pokrzywione w paragraf. Trzymają je w kupie, w ścisłym związku, żeby zapewnić bezkarność. W przeciwnym razie kamienie i wiatr nie czerpałyby żądz stopienia się w jeden dzwon, który rozbrzmiewa nad światem.

Pan Bóg nie został powołany do poskramiania, a do jaśnie panowania. Posiadając władzę nad gównem, władał planetą ludzi, którzy mieli Go w dupie, nie po to, żeby się odczłowieczać, a utylizować. Kamienie i wiatr wspinają się po sobie, na wysokość tożsamości, a szczyt kurestwa zdobywają w ciągłym ruchu. Kurwa kurwie łba nie urwie – oto słowo Boże.

Kamienie i wiatr. Dwie k... na K-2.